

L. p. 61 tomik Biblioteczki „Jadwigi z Łobzowa“.

157 tysięcy.

Z MŁODOŚCI DZIELNYCH POLAKÓW



JADWIGA Z ŁOBZOWA.

*Kraysiai na pamiatky
Gustavivovci*

L. p. 61 tomik Biblioteczki „Jadwigi z Łobzowa“.
157 tysięcy.

Z MŁODOŚCI DZIELNYCH POLAKÓW.



JADWIGA Z ŁOBZOWA.

**Kolekcja
Emila Kornasia**

NAKŁADEM AUTORKI.

KRAKÓW 1914.

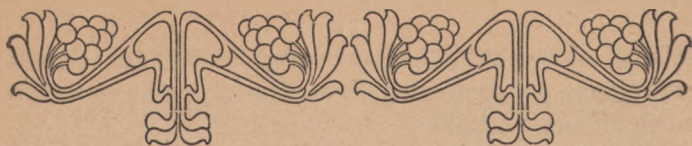
DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE (UL. MIKOŁAJSKA L. 13)
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.



CM KEK 330435

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr276...../201 /.....CM.....



Daj wolność moim braciom!

Co mam lepszego robić w dniach żałoby
Pośród cmentarza, niż chodzić na groby,
Rzucać tam kwiaty boleści i cześci,
Zagaste życie rozpałać w powieści
I przeszłość w łono przyszłości przelewać?..
Goszczyński.

Tatarski chan przyjmuje uroczyście gościa. — Znakomity Turek Achmet, przybył na mój dwór, rzecze chan, więc zabawy muszą się odbywać co dzień inne.

Wymyślają tatarscy dostojnicy co dzień inne wspaniałe zabawy, a gość zdaje się nie bardzo rozweselony.

Już trzy dni na dworze chana popisują się śpiewacy, tancerki, muzykanci,... już trzy dni odbywają się gonitwy, strzelanie do celu i igrzyska wojenne, lecz chan radby wymyśleć jeszcze coś więcej zajmującego.

Ostatniego dnia rozkazał, by odbyły się walki niewolników.

Zasiadł chan z Achmetem, Turkiem na ganku, a na obszernem podwórzu niewolnicy dookoła stanęli.

Błazi, okuci, zgnębieni niewolą, niewolnicy stanęli szeregiem, łańcuchy ich dzwoniły od czasu do czasu o kamienną posadzkę.

Wyprowadzają po dwu niewolników i każą im walczyć z sobą.

Dość długo to trwa, aż wreszcie potężny i silny Achmet Turek powiada :

— Niech się ze mną niewolnicy zmierzają!

Zstępuje z ganku, staje na podwórzu, niewolnika najsilniejszego wołają do walki.

Niestety!.. Najsilniejszy niewolnik padł zaraz u stóp Turka.

Ozwały się huczne oklaski. Chan nieco chmurnie spogląda na zwycięstwo gościa.

— Drugi niewolnik niech staje do walki!

Wyszedł z szeregu drugi, zdjęto łańcuchy — walka trwała chwilę, lecz dumny Turek już nogę na jego piersiach położył.

Dwór chana bije oklaski, sławi moc i zręczność Achmeta. — Chan każe innym niewolnikom do walki stawać.

Achmet pokonał pięciu, ośmiu, dziewięciu.

— Już nikt więcej nie odważy się ze mną walczyć? pyta dumnie.

A chan gniewny i chmurny woła :

— Może kto z Polaków do walki stanie,... dam wolność temu kto zwycięży.

Z szeregu Polaków, stojących w łańcuchach, występuje młody niewolnik i rzecze :

— Dajcie mi moją broń i zdejmcie pęta, a zmierzę się z tym mocarzem.



— Dajcie mi moją broń i zdejmcie pęta, a zmierzę się z tym mocarzem,

— Ty?.. najmłodszy wśród niewolników? Ty — młodzieniec?

— Tylko moją broń mi dajcie i tylko mi pęta zdejmcie!

— Najlepszego konia z mej stadniny otrzymasz w podarunku, jeśli pokonasz gościa, rzecze chan i czeka na rozpoczęcie walki.

Przyniesiono broń, zdjęto okowy. — Młodzieniec stanął na placu walki. Zakreślił szablą znak krzyża świętego i wzniosłszy oczy w niebo szeptem: — Królowo niebios dopomóż!..

Turek Achmet rzuca się jak lew... olbrzymi — potężny, silny, z gniewem jakimś chciałby tego chłopczynę u stóp swoich ujrzyć natychmiast, lecz niestety nie idzie tak łatwo jak pierwej. Dziwna walka trwa długo... wszyscy obecni prawie oddech w piersi zatrzymują, by nie przeszkodzić, by nie stracić uwagi. Chan wstał z krzesła, wyciąga rękę... usta jego coś szepcą...

— Chwieje się!.. chwyta go!.. szabla wyżej... co się dzieje?.. padł?..

— Zwyciężył Polak! Polak zwyciężył!.. wszyscy z podziwem powtarzają — Turek na ziemi... patrzcie! patrzcie!

Istotnie!.. Achmet olbrzym leży na ziemi, a na jego piersiach klęczy młodzieniec Polak i szablę trzyma w górę wzniesioną.

Chan zdumiony każe przyprowadzić owego młodzieńca do siebie i pyta:

— Jak się nazywasz?

— Stefan Czarniecki.

— Zwyciężyłeś, więc koń najpiękniejszy dla ciebie i wolność otrzymujesz, możesz wracać do kraju.

Lecz Stefan Czarniecki odpowiada spokojnie.

— I konia nie wezmę i sam zostanę w niewoli u ciebie, tylko za to daj wolność tym Polakom, którzy od dawna dźwigają kajdany. Jam młody — łatwiej zniosę niewolę, lecz ci z tęsknoty za Ojczyzną giną. Im daj wolność.

Zdumiał się chan...

— Tak miłujesz swych braci? Tylko u was Polaków takie serca biją w piersiach... Wolni więc dziś będą wszyscy Polacy.

I dzień walki z Turkiem Achmetem stał się dniem szczęścia dla wielu Polaków. Tego dnia wracać mogli do Ojczyzny. Stefan Czarniecki — młodzieniec — uprosił dla rodaków wolność zupełną.

Tak to zagasłe życie przeszłości dawnej w wspomnieniach opowieści rozbłysło przed nami, niby iskierka nigdy nie gasnąca.



Sprawiedliwy sędzia.

Zabrzmiął głos dzwonka.

Drzwi od klas szkolnych poczęto szybko otwierać, a studenci, jak pszczoły z ula, wysypali się na korytarz. Śmiech, hałas, wrzawa, gonitwa jak to zawsze, gdy młodzi z ciasnych sal wybiegną. Już

cztery godziny przesiedzieli nad książkami, więc jakby kto z klatki rój ptaków wypuścił, tyle radości i wesela.

Jedni z śpiewem przebiegają przez kurytarz, drudzy w gromadki zbici rozmawiają żywo, a inni, jak to bywa, poczynają się kułakować.

Tylko jeden chłopak stoi na boku smutny i zamysłony.

— Coś Tadeusz dziś bardzo cichy, mówi jeden z kolegów, wskazując na ucznia stojącego na uboczu.

— On prawie zawsze więcej zadumany jak wesoły.

— Zawsze? co mówisz? przecie gdy bawimy się w walczące partye, to on wtedy najdzielniejszym jest dowódcą, a ognistemi słowy zachęca ażeby wrogów pokonać.

— Rzadkie to są chwile, częściej nasz kochany Tadeusz Rejtan od rozbawionych oddala się — duma, czyta trudne naukowe dzieła.

— Książd profesor idzie!.. jakaś nowina będzie. Zbiegli się koledzy, zbliżył się i Tadeusz Rejtan.

— Dziś po południu zbierzecie się w sali na dole, zapowiada książd profesor. Odbędzie się dziś wybór na rok przyszły. Prezydenta sądu wybieriecie z pomiędzy siebie, więc trzeba się zebrać licznie.

-- Wiwat! huknęli chłopcy. Dziś wybór prezydenta sprawiedliwości. Trzeba się naradzić i namyśleć na kogo damy głosy.

Lecz w tej chwili ozwał się dzwonek. Studenci do klas wrócili, na kurytarzach zrobiło się cicho,

tylko od sklepień, niby echem, odbijały się ich śmiechy wesołe, ich śpiewy rozgłośnie.

* * *

U Księży Pijarów w tych czasach bardzo dużo było polskiej młodzieży na wychowaniu. Zakłady Pijarów wniosły nową metodę i plan nowy, zaprowadziły zmiany w sposobie nauczania, więc Polacy oddawali swoje dzieci na naukę z ochotą.

Umieli też Pijarzy przyzwyczajając chłopców wcześniej do służby obywatelskiej. Urządzali sejmy, jakoby prawdziwe, na które wielu posłów przyjeżdża.

Na obradach takich sejmów zaznajamiała się młodzież z ustawami, uczyła się wymowy, a tak zamiast pustych zabaw, miała rozrywkę połączoną z nauką.

Podobnie jak sejmy, urządzali Pijarzy i sądy.

Gdy w jednym zakładzie jest kilkuset, a może i tysiąc chłopaków, zdarzają się pewne nieporozumienia, skargi i zażalenia.

Wnieśli Pijarzy prośbę o zezwolenie na wprowadzenie sądów koleżańskich i wojewoda nowogrodzki, książe Jabłonowski, na to się zgodził.

Raz w rok odbywał się wybór prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i jednego regenta.

Właśnie teraz ma się odbyć wybór, więc przed posiedzeniem po południu we wszystkich klasach narada ważna.

* * *

Duża sklepiona sala zapełniona.

Co chwila inny mówca występuje z przemową, a zebrani koledzy z należytą powagą słuchają.

Jedni zdawali sprawozdanie z czynności, ustępując po roku, drudzy zachęcali, by koledzy w wyborze postępowali rozważnie.

Aż oto jeden, drugi, ósmy mowca przedstawia, iż nikt nie będzie lepszym i sprawiedliwszym nad Tadeusza Rejtana.

— Tadeusz Rejtan prezydentem sądu!

— Wiwat!... nikt tylko on!...

— Poczciwy, kochany, szlachetny kolega, on sprawiedliwym jest zawsze, on nie dozwoli, by komu krzywdę uczyniono...

Sala huczy okrzykami, koledzy Tadeusza wprowadzają, on zarumieniony pochyła głowę, po chwili dziękując za wybór, rzecze:

— Wielki ciężar wkładacie na mnie. Nie usunę się, lecz powiadam, iż ani żadne prośby, ani błagania nigdy mego wyroku nie zmienią. Od sprawiedliwości w narodzie zależy narodu przyszłość...

— Wiwat sędzia!...

— Wierzymy w twą sprawiedliwość i dlatego ciebie sędzią obieramy.

Tadeusz Rejtan zabrał się zaraz do czytania ksiąg prawnych, poznawał ustawy i przepisy sprawiedliwości, pracował tak gorliwie, iż księża mu książki odbierali, bo bali się o jego zdrowie.

Co czwartek odbywał się sąd.

Prezydent sądu zasiadał za stołem, obok niego czterech sędziów, dwu pisarzy i t. d.

Ten, kto miał wnieść jaką skargę, sam musiał stawać i sam przemawiać. Szło o to, ażeby chłopak umiał dobrze i zrozumiale powiedzieć, o co mu idzie.



— Stała mi się wielka krzywda!..

Lecz ten, którego oskarżano, miał zawsze obrońcę. Wybierał sobie kolegę, do którego miał najwięcej zaufania i ten przed sądem i przed kolegami musiał go bronić. Zabawy te u Pijarów były dobrą szkołą dla służby obywatelskiej.

* * *

Wkrótce po wyborze Tadeusza Rejtana, we czwartek jak zwykle, zasiedli sędziowie. W sali wiele osób. Wystąpiła przekupka z Nowogródka jako oskarżycielka i wołała z płaczem:

— Stała mi się wielka krzywda!.. Oto panicz z tutejszej szkoły w swawoli, gdy pędził za drugim kolegą, potknął się, upadł i potłukł mi garnki. Są świadkowie, którzy potwierdzą, iż co mówię to prawda, a ja biedna jestem, zarobię tylko tyle co garnki sprzedam, więc proszę o ukaranie studenta.

Tadeusz Rejtan zachmurzył czoło i pyta:

— Jak się ten student nazywa?

— Józef Rejtan.

— Mój brat?... ze zdziwieniem szepce Tadeusz, mój brat zrobił i szkodę i krzywdę? Wstaje prezydent sądu z krzesła i wychodzi z sali.

— Paniczu! woła przekupka ze łzami, nie odchódźcie!... mnie nikt tak jak wy sprawiedliwości nie wymierzy.

— Trudna rada, moja matko, odpowie łagodnie Tadeusz Rejtan, ja rodzzonego mego brata sądzić nie mogę.

— Dlaczego?... zostańcie paniczu.

— Sędzia, jeśli ma być sprawiedliwym, musi postępować wedle prawa, odpowie Rejtan, a w księ-

gach naszych praw wyraźnie jest naznaczone, iż powinowaty nie może sądzić powinowatego, a tem bardziej brat nie może rodzzonego brata sądzić.

— Ale ja wiem, najlepszy paniczu, iż ty nie będziesz zważał na to czy brat, czy kto inny mnie szkodę uczynił, ty wydasz sąd sprawiedliwy... nie odchodź! — prosi przekupka wielce strapiona.

— Gdybym brata osądził, nie zważając na to, iż to brat, miałbym sławę sędziego sprawiedliwego, odpowie Rejtan, ale bym postąpił przeciw prawu. Nigdy zaś sędzią dobrym ten nie będzie, kto sam prawa nie szanuje.

Zdumieli się wszyscy i szeptali między sobą:

— Ten nigdy nie uczyni krzywdy, ani na niesprawiedliwość nie zezwoli.

* * *

I po wielu latach, ten sam sprawiedliwy sędzia, nie podpisał krzywdy czynionej Ojczyźnie. On jeden, ostatni, nie podpisał rozbioru Polski, na nieszczęsnym sejmie 1773 roku.



Będziesz służył Ojczyźnie!

Mały Józio bawi się hałaśliwie.

Z drugiej komnaty weszła pani Teresa Poniatowska i pyta:

— Co robisz?... Po co te stołki powywracane, po co ten stół na środku?...

— Ja uczę się zdobywać przeszkody, odpowiada chłopczyzna dziarski i po wojskowemu matkę wita.

— Nie ma żadnych przeszkód, ani żadnych wrogów, więc siedź w spokoju, rzeknie matka.

— Pan generał Andrzej Poniatowski zawsze powiada, iż jeżeli żołnierz w pokoju nie ćwiczy się jak zdobywać przeszkody, to w czasie wojny chowa się za tabor... muszę więc i ja teraz ćwiczyć się ciągle, ażeby nigdy nie chował się w czasie walki.

Te słowa ośmioletniego chłopczyka zadziwiły matkę. Pogłaskała go po główce, a po chwili namysłu mówi:

— Chodź ze mną... dam ci ryngraf..

Pobiegł Józio za matką i z ciekawością czeka, bo nie wiedział jeszcze co ryngraf znaczy.

Pani Poniatowska przyniosła z swego pokoju mały obrazek Matki Boskiej na blasze malowany.

— Własną ręką dla ciebie wymalowałam obraz Boga Rodzicy na ryngrafie. Chciałam ci to dać, gdy będziesz z domu wyjeżdżał. Lecz zawieszę ci dziś na piersiach. Pamiętaj Józiu... kto taki ryngraf pod odzieniem nosi, ten musi służyć Ojczyźnie. — Mówisz, iż żołnierz w pokoju powinien się ćwiczyć, by pokonywał przeszkody, to prawda, ale i to pamiętaj, iż kto ze znakiem Maryi do walki staje, ten wytrwać musi...

Józio wpatrzył się z zachwytem w twarz matki. Nigdy mu się ani tak piękną, ani tak dobrą nie wy-

dawała jak w tej chwili, gdy pod sukienką chłopięcą zawieszała ryngraf z Matką Boską.

* * *

W dwanaście lat później, ksiązę Józef Poniatowski, jako piękny oficer, z królem Poniatowskim jechał do Kaniowa.

Nie spodziewał się ksiązę Józef, iż stryj jego, król Stanisław, w Kaniowie z carową Katarzyną rozpocznie układy o zgńębienie Polski.

Gdy jednak spostrzegł co się dzieje, z bolem odsunął się z salonu carycy.

Katarzyna zauważyła to, iż ksiązę Józef niechętnie w Kaniowie przebywa, więc pragnęła zyskać życzliwość młodego rycerza.

Wezwała księcia Józefa na swe pokoje i rzecze:
— Mianuję cię swoim rycerzem.

Uklonił się ksiązę Józef nisko, wedle zwyczaju, a potem podniósłszy głowę do góry, odpowie:

— Za ten zaszczyt dziękuję Najjaśniejszej Pani, lecz służę już komu innemu i jestem rycerzem innej pani.

— Czyimże jesteś rycerzem i komu służysz?

— Mojej Ojczyźnie!... jestem Polakiem...

Z gniewem spojrzała Katarzyna caryca na pięknego młodzieńca.

On zaś, wychodząc z sali, przyciskał dłonią ukryty pod mundurem ryngraf, ręką matki malowany i szeptał do siebie:

— Nic i nikt mnie ze służby Ojczyźnie nie uwolni, chyba jedna śmierć.

* * *

Dnia 16 października 1813 roku zginął książę Józef w rzece Elsterze... ryngraf wraz z kulą wpił się w jego piersi. Ranny bohater utonął mówiąc:

— Bóg mi powierzył honor Polaków — Bogu go oddam...



Grudka ziemi.

Cóż to za wojownik łzami zalany klęczy na granicy polskiej ziemi?

Przysłonił oczy dłonią, ukląkł jak gdyby na mogile najdroższych osób, płacze, a usta szepcą: żegnaj! żegnaj!...

— Co to za wojownik, który się łez nie wstydzi?... Stoją opodal żołnierze zapatrzeni, on nie kryje łez swoich przed nimi... ukląkł i szepce przez łyżę: żegnaj! żegnaj!...

— A ja wam powiem, iż ten wojownik jak lew walczył za wolność narodu, Moskale znali dobrze jego miecz ostry, jego rozkazów srogie wyniki, jego walk plony... To Kazimierz Puławski — konfederat barski — on, który na rozbiór Polski odpowiedział krwawą walką. — Nie damy Ojczyzny!... Nie widział nikt u niego rozpacz ni lęku. Nie widział nikt łez, gdy krew z jego rannej piersi sączyła się, nie płą-



— Żegnaj ziemio rodzinna, żywicielko i piastunko...

kał on, gdy jako obrońca stał na murach Częstochowy...

— Więc dlaczego płacze i oczy kryje dłonią?

— Puławski żegna Ojczyznę... idzie na tułactwo...

— Jakto?... on Polak, Polskę rzucać musi?...

— Moskwa zdeptała obrońców wolności. — Moskwa wyciąga straszną rękę, by tę ziemię zagarnąć, więc Puławski żegna Ojczyznę... Gdyby tu został Sybir i lochy więzienne dla niego, gdyby tu został kajdany i śmierć z ręki Moskala.

— Żegnaj ziemio rodzinna, żywicielko i piastunko, nie będę chadzał między zbóż twoich łany, gdy kłosa szemrzą po miedzach...

— Żegnaj ziemio rodzinna... matko i opiekunko... nie będę pił z twoich źródeł wody, ani głosu twych dzwonów kościelnych nie będę słyszał...

— Żegnaj ziemio rodzinna... skarbie nieprzebrany — nie będę słyszał szumu twych lip starych, ani nie ujrzę stepów ukraińskich zieleni...

— Nie rzucam ciebie dla szukania skarbów i szczęścia — iść muszę, bom cię bronił...

— Nie rzucam ciebie dla wygod i spoczynku — iść muszę, bom nie chciałem na niewolę zezwolić...

— Nie rzucam ciebie dla lęku przed wrogiem — iść muszę, bom cię kochałem do ostatka...

* * *

Po chwili Kazimierz Puławski powstał i rzecze do towarzyszy:

— Oto grudkę ziemi Ojczystej, jako relikwie, na piersi mej zawieszę. Pamiętajcie! gdy w obczyźnie

zginę, na oczy mi tę grudkę ziemi położycie. Obca ziemia, jak macocha, gniecie i cięży...

Łzy stłumiły dalsze słowa... Wraz z szkaplerzem zawiesił grudkę ziemi owiniętą starannie.

Przeszli parę kroków i już Ojczyzny nie widzieli...

* * *

W kilka lat później, na obcej ziemi w obronie wolności Ameryki, padł Puławski z konia na ziemię.

Koledzy go podnieśli — szepnął: Polsko! i żyć przestał...

Grudka polskiej ziemi, przy szkaplerzu umieszczona, zakryła oczy tułacza...

Spoczął tak daleko... jednak tak zawsze imię jego w Polsce jest drogie, iż niema zda się dzieciны jednej, któraby nie wiedziała kim był Puławski.



Odważny kleryk.

Pan Kazimierz Puławski chodzi po dużej komnacie szybko.

— Mówicie panowie, iż chyba ptak do obozu Zaremby dostanie się?... Nie przejdzie nikt?...

Ci, co zebrali się na ważną naradę, pochylone mają czoła.

— Moskale otoczyli Jasną Górę i ścisnęli jak obęczami żelaznemi, nikt stąd nie przejdzie — mówi jeden.

— Ani myśleć, ażeby się kto z listem do Zaremby dostał. Moskale czujne mają straże, dookoła ich namioty i wojska, ani myśleć.

Puławski jednak szuka drogi.

— Gdyby tylko dać znać Zarembie pod Kaliszem, iż trzeba pomocy, z pewnością z swoim wojskiem przybędzie. Co tu począć!

Narada trwa długo. Ten i ów radzi, ale wszelkie sposoby wydostania się z twierdzy na Jasnej Górze są jak senne widziadła.

— Moskale nie przepuszczą nikogo!

Lecz oto nieśmiało wchodzi chudy, mizerny kleryk Ambroży. Staje pokornie i kłaniając się nisko mówi:

— Ja pójdę z listem do pana Zaremby.

Pan Puławski spojrział z niedowierzaniem.

— Poszlibyście?... Życie niepewne...

— Ale pomoc Najświętszej Matki niezawodna.

Ja pójdę.

Długi czas trwała narada, wreszcie Puławski dał pismo do Zaremby. Kleryk Ambroży wrócił do swej celi i do późna w nocy przygotowywał się do wyprawy.

Na drugi dzień rano kleryk wyszedł z fortecy.

Pochylony szedł powoli, trzymając rękę przy twarzy spuchniętej i oklejonej plastrem.

Ledwie uszedł parę kroków, już go Moskale schwycili.

— Oto z fortecy wysłannik, trzeba go prowadzić do generała.

— Jak go weźmiemy na mękę, a zaczniemy z niego drzeć pasy, to wyśpiewa wszystko.

— Prowadzić go do samego Drewicza!

— Myślał, że jak ptak przeleci nie schwyty, ale nasze ręce trzymają silnie.

Kleryk nic nie odpowiada na te wszystkie gadania. Trzyma rękę przy spuchniętej twarzy i jęczy: Oj! jak ząb boli... Oj! jak boli!...

Gdy przed Drewicza postawili ubożego kleryka, generał pyta:

— Gdzie idziesz?

— Idę do miasteczka, aby mi ząb wyrwano.

— Oj boli!... boli!...

— Tam w fortecy niema nikogo ktoby ząb wyrwał? Aż musisz iść dalej... to dziwne.

— Są tacy, co wyrrywają, ale ja mam zaufanie do jednego, w Wieluniu... Oj boli! boli!...

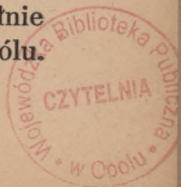
— My ci tu wyrwiemy, nie trzeba daleko chodzić, my mamy takich, co rwą dobrze. Nie pójdziesz dalej, dokąd ciebie nie zrewidują i nie przekonają się jakie ty papiery niesiesz.

— Oj boli! boli!...

— Wyrwą ci ząb zaraz, tylko tu przy mnie rewizję zrobią... Zdjąć habit i szukać papierów.

Rzucili się Moskale na kleryka, szarpia, szukają, popruli habit cały, nic nie znaleźli.

Drewicz zły, niecierpliwi się coraz więcej. A kleryk Ambroży rozebrany, ledwie w bieliźnie, zupełnie spokojnie stoi, tylko od czasu do czasu jęknie z bólu.



Lecz pot go oblewa, a od potu odkleja się plaster na twarzy przylepiony. Gdy plaster spadnie, spadnie list Puławskiego.

— Niema pisma! mówią Moskale.

— Oj boli! boli!... jęczy kleryk i ciśnie ręką plaster, aby przylepić silnie. Jeden ruch, a spadnie, odkleja się...

— Nie jęcz! zabieraj się!... rozkazuje Drewicz.

Ubiera się kleryk, ale ubrać się bardzo trudno. Jedną ręką trzymać trzeba plaster na twarzy, bo spadnie, habit popruty w kawałki, jak to na siebie włożyć. Pozawijał się w kawałki, jak w łachmany i wyszedł kłaniając się kornie.

— Oj boli... boli!...

Moskale, śmiejąc się, pokazywali jedni drugim kleryka owiniętego w kawałki poprutego habitu.

Lecz kleryk szedł dalej jakoby w najdostojniejszych szatach, tak go cieszyło, iż i Drewicza oszukał i Puławskiego list do Zaremby zaniesie.

Gdy był za obozem Moskali wyprostował się, odklejony plaster rzucił, list schował na piersi, a spojrzawszy na Jasną Górę, szeptał modlitwę dziękczynną.

*

*

*

Gdy stanął przed Zarembą, on rzecze:

— Odważny z ciebie bohater, ale i dowcipny...
A gdyby plaster ten spadł u Drewicza?

— Zginałbym, lecz byłbym jednym z tych tysięcy, które giną w służbie dla Ojczyzny.



Wielki skarb.

Ach! matka pierwszej uczy piosenki,
Pierwszym uściskiem ona nas darzy,
Miłość w jej oku, dobroć w jej twarzy
Wszędzie i zawsze...

Żmichowska.

Nie ma nikogo w pokoju.

Duży zegar jednostajnym ruchem daje znak życia, muszka jakaś brzęczy skrzydełkami, a przez otwarte okno słychać z daleka gwar ludzi pracujących w ogrodzie.

Nie ma nikogo w pokoju. W tem ostrożnie, z cicha odchylają się drzwi...

Wchodzi mały chłopczyzna, ogląda się, nadśluchuje, przysuwa stół pod duże lustro i czeka, namyśla się.

— Nie, nie zrobię tego... nie ładnie jest czynić coś takiego, z czem się kryć trzeba.

Po chwili zaś mówi do siebie: — Ja wszakże nie chcę nic złego zrobić... chcę się dowiedzieć, co ludzie w listach piszą. Ojciec mój tu za lustro wkłada listy, wezmę jeden i przeczytam. O czem to w listach piszą...

Wskoczył na stół, sięgnął ręką za lustro, wyjął paczkę listów, zaczął czytać...

— A! to tak się listy pisze? Pozdrowienia serdeczne, wiadomość o zdrowiu... a to co?... — co to dalej?...

Chłopak ukląkł na jedno kolano, czyta, aż zaczyna płakać żałośnie, głośno.

— Co tobie Julku? woła matka otwierając szybko drzwi. Co tobie?... chory jesteś?...

— Mamo! mamom!... list... list taki straszny...

— Jaki list? Co ci się stało?

Chłopak tuli się do matki i płacząc żałośnie, mówi: — Ja nie chciałem źle zrobić, nie chciałem się kryć, tylko nigdy jeszcze listu nie czytałem, wziąłem te do ręki...

— Więc czegoż płaczesz tak bardzo, nic się nie stało.

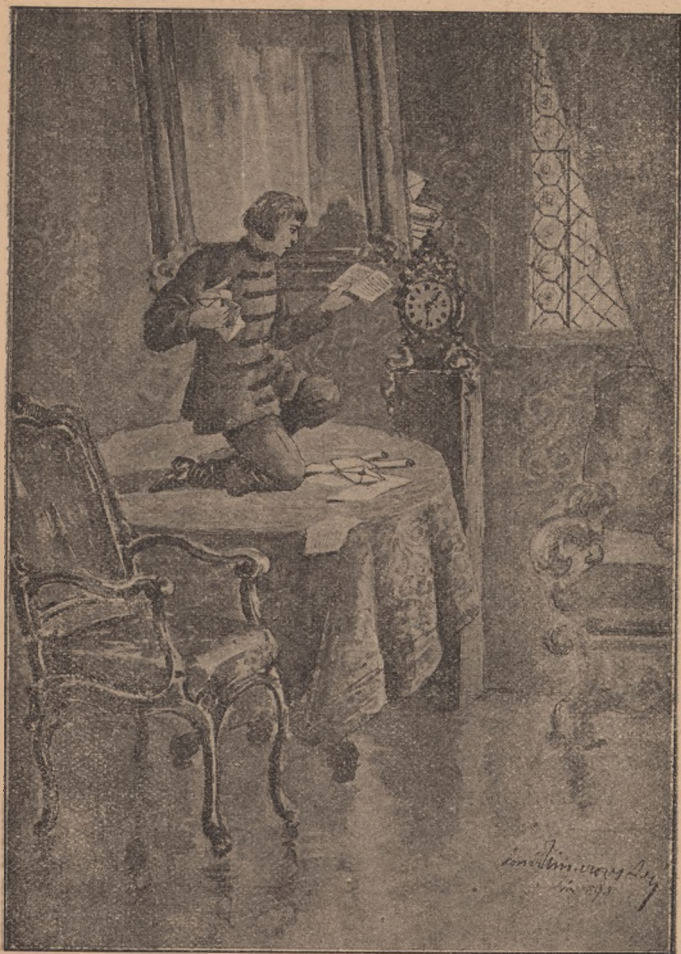
— Jakże nie mam płakać, kiedy tu napisano, iż mnie ojciec do Warszawy odwiezie do szkoły...

— Powinieneś się cieszyć, nie płakać. Uczyć się będziesz w szkole, wyrośniesz na mądrego Polaka, będziesz pożytecznym synem w Ojczyźnie...

— Ach mamom! Jakże ja stąd pojedę, jakże ja pożegnám kochane Kleniki, brata, siostry i ciebie mamom!...

Pani Niemcewiczowa nie może Julka uspokoić. Listy włożyła za lustro, chłopca wzięła do swego pokoju, tuli go i rozmawia długo, opowiadając, iż do szkół dużo dzieci uczęszcza, wiele dzieci musi pożegnać i dom i matkę, wiele musi przywyknąć do pracy mozolnej.

W domu państwa Niemcewiczów, w Klenikach, długo przygotowywano wyprawę do szkół dla Julka.



Wskoczył na stół, sięgnął ręką za lustro, wyjął paczkę listów i zaczął czytać.

Nie cieszyły chłopaka piękne, nowe suknie, nie bawiły już figle brata i siostr, zadumany często myślał o tem, jak on z ukochanego domu wyjedzie.

Aż nadszedł smutny dzień pożegnania. Przed ganek dworu zajechała duża ciężka kolasa, zaprzężona w 4 konie. Z Klenik do Warszawy droga długa 26 mil, trzeba więc było kilka dni jechać. Wynoszono kufry i tłumoki z pościelą, puzderka z winem, dla ludzi i koni żywność.

Julek patrzył i patrzył, a łzy toczyły się po bladej twarzyczce.

— Jak tu pożegnać Kleniki kochane?

Matka go przytuliła, pobłogosławiła, pożegnała czule i dając kilka rad, rzekła na końcu:

— W kuferku twoim są pończochy mojej roboty. W każdej pończosze jest jeden dukat złoty. Schowaj, a kupisz za nie co chcesz. Tu zaś do ręki daję ci 20 złotych polskich srebrem.

Nigdy Julek własnych pieniędzy nie miał, bo we dworze w Klenikach nie było co kupować. Teraz dostał dużo pieniędzy i byłby się nimi cieszył, gdyby nie rozdział z matką.

Podziękował pięknie, przytulił się i płacze...

— Czas do drogi! zawołał ojciec.

Ukląkł Julek przed matką... nie może słowa wymówić.

— Niech cię Bóg błogosławi, a bądź dzielnym i szlachetnym... Niech cię Bóg błogosławi!...

— Nie płaczcie!... Zaczyna się służba dla narodu, Polak do niej z radością staje... żegnaj Julku siostry i brata... pojedziemy...

Ojciec dodaje ochoty, ale i jemu żal, lecz trudno... chłopak się uczyć musi.

Usiadł Julek w kolasie przy ojcu, nie słyszał jak siostry wołały: napisz do nas list!... nie widział jak matka krzyż nad nim kreśliła, nie wiedział kiedy stary Maciej z bicia trzasnął siarczyście... Płakał i płakał do ojca przytulony... aż i Kleniki były daleko.

* * *

Na popasie starali się Julka rozweselić. Stary Maciej opowiada mu jakąś przygodę żołnierską, lecz Julek myśli o czym innym. Ojciec zaprasza chłopaka do jedzenia, ale nic do ust nie weźmie. Jakieś drzewo szemrze opodal listkami, a Julkowi się zdaje, iż każdy listek szeptem: — pojechał! pojechał!... Jakiś ptaszek na dachu w gospodzie na dachu świergoce, a Julkowi zdaje się iż on woła: — gdzie dom! gdzie dom!... I znowu płacze chłopczyzna rozżalony...

Aż tu idzie żyd, znajomy, stary żyd z Klenik.

— Oj waj! a panicz czego płacze? co się stało?...

Opowiada Maciej żydowi dlaczego panicz płacze i pyta co on niesie do domu?

— Ja kupił dużo cytryn — będę po dworach sprzedawał.

Julek na to porwał się szybko:

— Daj tu, ja kupię dla mamy... kłaniajcie się mamie, powiedzcie, że się będę dobrze uczył, a za te pieniądze kupuję cytryny, zanieście mamie.

Uśmiechnął się pan Niemcewicz i rzecze:

— Ależ Julku... pocóż mamie za 20 złotych cytryn... zostaw dla siebie trochę pieniędzy, w Warszawie wiele rzeczy ładnych zobaczysz... kupisz sobie.

— Wszystko dam dla mamy...

— Wielki dla ciebie skarb 20 złotych, jeszcześ nigdy tyle pieniędzy nie miał.

— Ale mama większy skarb, odpowie na to Julek poważnie i ofiarował wszystkie pieniądze na cytryny dla matki.

*

*

*

W sześć dni później, 8-go września 1770 r., Julek ubrany w najlepsze sukienki, żupanik kitajkowy niebieski, kontusik karmazynowy, pas przetykany srebrem wybrał się z ojcem do stryja, a stamtąd do pałacu, w którym była szkoła kadetów. W parę dni już Julek był w mundurze kadeckim. Miał białe spodnie i granatowy mundur z czerwonymi wypustkami. Korpus liczył 60 uczniów i dzielił się na trzy brygady. Sam król Stanisław Poniatowski był jego kapitanem.

Tak rozpoczął naukę Julian Ursyn Niemcewicz, on, który był później przyjacielem Kościuszki, walczył za wolność Ojczyzny i napisał „Śpiewy historyczne“, ów wielki skarb w literaturze naszej.



Polskie wojsko!

W Nowogródku od południa ruch niezwykły. Wybiegają ludzie z domów, spieszą w stronę drogi od Wilna, nadśłuchują, wypatrują.

— Jada, czy nie jada?

— Może już oni!...

— Jakiś tentent słychać z daleka...

Są to już wakacye, bo początek lipca, więc chłopcy nie siedzą w klasach. Wybiegają za miasto i patrzą z ciekawością na drogę daleką.

Mały Adaś Mickiewicz ani myśli wracać do mieszkania :

— Muszę tu stać i czekać na nich, muszę ich zobaczyć.

Lecz starsi bracia powiadają :

— My idziemy za miasto naprzeciw, sam tu w ulicy zostać nie możesz, jesteś mały, zdepcą cię tu w ciasnej ulicy.

— Muszę zobaczyć polskie wojsko, woła mały Adaś Mickiewicz, przytulę się pod mur przy ulicy Trojeckiej, muszę widzieć polskie wojsko...

Już prawie o zachodzie słońca usłyszał Adaś tentent wielu koni. Przytulił ucho do ziemi, słuchoł, coraz wyraźniej, coraz bliżej słychać... jada! jada!

Zerwał się z ziemi, cały w ogniu radości, sam nie wiedział co począć, czy biegnąć naprzeciw, czy zostać tu, czy do matki spieszyć, by jej oznajmić radosną nowinę.

Chwilę jeszcze się namyśla, aż patrzy... patrzy... oczom swoim nie wierzy.

Na rogu ulicy, na koniu wspaniałym, w amarantowych rabatach, oto on... księżę Józef Poniatowski... wódz pułków...

— To on!... woła Adaś głośno i wznosi ręce i łzami zalany spieszy, aby mama przyszła, aby zobaczyła polskie wojsko.

Lecz na ulicy zrobił się taki ścisk i tłok, iż chłopczyna nie mógł się ruszyć ani kroku. Spiał się na palcach, patrzy na ułanów polskich jak jadał powoli, piękni jak malowani nasi, w blaskach słońca zachodzącego podobni do zjawisk nie z ziemi.

— Polskie wojsko!... powtarza znów Adaś z uniesieniem i łzy ociera dłonią.

— Czegóż ty beczysz? pyta go jakaś stara kobieta — żal ci, iż Moskale poszli z Nowogródka?

Adaś zbladł. Zdawało mu się iż serce w nim zamiera z gniewu.

— Mnie żal za Moskalami? Mnie?... Rozbeczał się w głos i z żałośnem płaczem pędzi co sił do matki.

— Jezus Marya! co się stało? pyta pani Mickiewiczowa, usłyszawszy żałośny płacz Adasia...

— Co się stało?... Adasiu!...

— O mamó! mamó! ta kobieta, o ta!

— Cóż ci zrobiła ta kobieta?

— Ona powiedziała, iż płaczę dlatego, bo Moskale poszli z Nowogródka, a ja płaczę z radości, że widzę polskie wojsko.

I przytulił się Adaś do rąk matki i płakał długo, powtarzając z bólem:

— Ona wie, żem Polak, a mówi takie straszne rzeczy... jak można mamó Polakowi się dziwić gdy płacze... ułani nasi przyjechali...

Tak Mickiewicz dnia 8 lipca 1812 roku witał polskie wojsko.

*

*

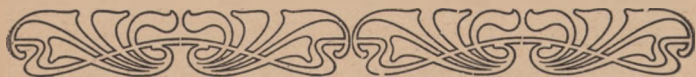
*

W 22 lat później, Adam Mickiewicz w Paryżu, w pieśni „Pana Tadeusza“ pisał:

- Aż oto stada nowe, jakby gilów, siewek
- I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
- Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie,
- Konnica!... dziwne stroje, niewidziane bronie,
- Pułk za pułkiem, a środkiem jak stopione śniegi,
- Płyną drogami kute, żelazne szeregi...

.....
— O roku ów! kto cię wówczas widział w naszym
[kraju!...

-
- Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna...
 - Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
 - Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu!



Polska książka.

W Tarnowie na rynku, jak zwykle w mieście gwar i ruch. Dzień jest piękny i ciepły, słońce wysoko podeszło, grzeje silnie, a gołębie na dachach gruchają mówiąc: ciepło! ciepło!

O! ciepło już dość, gdy u przekupek na rynku w Tarnowie pokazały się pierwszy raz poziomki.

Kupowali też ludzie poziomki chętnie, bo nie-jeden myślał: — Ucieszą się dzieci, gdy pierwszy raz poziomki skosztują.

Niedaleko straganu pewnej czerwonej i grubej przekupki stanął jakiś chłopak blady, mizerny i spogląda żałośnie.

Przekupka sprzedaje poziomki, wydiera kartki z książki, zwija papierowe torebki i w nie wsypuje poziomki.

Blady i mizerny chłopak zbliża się powoli. Co krok robi, staje i patrzy, a patrzy.

— Pewnie chciałby kupić poziomki, szepce druga przekupka do sąsiadki, ale nie ma za co.

— Biedak to jakiś, ubranie na nim wytarte, lepiej by na buty składał jak na łakotki wydawał.

— Poziomki świeże! smaczne poziomki! woła czerwona, gruba przekupka i znowu drze kartki z książki, robi trąbki, poziomki wsypuje...

Blady chłopak przysuwa się bliżej, patrzy i patrzy, na twarz mu biją rumieńce, oczy świecą ogniem zapału.

— *Polska książka!* szepce chłopczyna... jak można z polskiej książki wydierać kartki — szkoda to ogromna...

Znów zbliżył się o krok, patrzy... sam sobie nie wierzy... polska książka idzie na podarcie jako szmata niepotrzebna... to straszne...

— Co panicz tak ogląda? pyta przekupka. Poziomki są dobre i nie drogie.

— Proszę mi dać miareczkę, rzecze chłopczyna i wyjmuje rękę z kieszeni.

Przekupka podniosła książkę, chce wydrzeć kartkę, lecz w mgnieniu oka wyrywa jej z ręki książkę ów chłopak blady i ucieka co siłą...



— Mów zaraz dlaczego to uczyniłeś? woła prefekt ostro

— Gwałtu!... wrzasnęła przekupka... łapać! trzymać!... urwisz jakiś... widzicie go!...

Kumoszki porwały się, wrzask powstał przeraźliwy, ludzie się zbiegli, czerwona przekupka krzyczy co sił:

— Urwisz!... złodziej! nicpoń!...

Po chwili prowadzą chłopaka z książką w ręku.

— A to ładnie! student zabiera cudzą rzecz...

— A to ładnie!... jak się pan prefekt dowie, to będzie kara porządna...

W tej chwili idzie właśnie pan prefekt. Zobaczył zbiegowisko i ucznia, więc pyta co się stało. Gdy mu przekupki opowiedziały wszystko, pan prefekt zwraca się do studenta i pyta:

— To ty Brodziński tak ładnie się spisujesz?...

Brodziński stoi ze spuszczoną głową, nie śmie spojrzeć na prefekta.

— Mów zaraz dlaczego to uczyniłeś? woła prefekt ostro...

— Bo proszę pana prefekta, to polska książka, to Kochanowskiego rymy, cudne rzeczy, a ona drze w kawałki... wolałbym, wolałbym, żeby wszystkie moje książki podarła, te niemieckie szkolne, byle ta polska została...

— Szanujesz polską książkę, ale nie szanujesz przykazania, cudzej rzeczy brać nie godzi się...

— Wiem! wiem, szepce Brodziński łzami zalany, ale czy można zawijać poziomki w Kochanowskiego rymy?...

Książkę polską oddano przekupce, ażeby dalej zawijała poziomki, a Brodziński w szkole otrzymał karę za czyn nie szlachetny.

Długo płakał chłopczyzna w swej izdebce i dumiał nad tem, kiedy nadejdzie ów dzień, w którym w szkołach zamiast niemieckich książek będzie wolno mieć książki polskie.

* * *

Po wielu latach Kazimierz Brodziński pisać zaczął prześliczne polskie książki, które należą do skarbów literatury polskiej.

My, którzy teraz polskie książki mamy zawsze i do nauki i do czytania, nie możemy zrozumieć jak silną była tęsknota dzieci polskich do książek pisanych w ojczystym języku!

W owych bowiem czasach Polacy pod rządem austriackim musieli się uczyć tak w szkołach po niemiecku, jak uczą się teraz Polacy pod rządem pruskim.



Opiekun sierot.

Pokaż mi ten obrazek!... pokaż... woła mały Staś do przyjaciela.

— Bardzo ładny obrazek, święty Wincenty tuli do siebie ubogie dzieci... prowadzi je do ochrony.

— Czy te dzieci nie mają rodziców i nie mają swoich domów?

Usłyszał to pytanie ktoś starszy, więc tłumaczy chłopakom:

— Jest bardzo wiele dzieci, których rodzice są tak ubodzy, iż mieszkają w nędznych izdebkach, ciasnych i brudnych. Ci ubodzy rodzice idą rano do pracy, na chleb... ojciec albo do fabryki, albo do zamiatania ulic, a matka do prania lub posługi. Dzieci zostają cały dzień bez opieki. W izbie ciasno, więc wybiegają na ulicę, nikt nie czuwa nad nimi, uczą się brzydkich rzeczy, próżnują, czasem i z głodu płaczą. Więc święty Wincenty takie biedne dzieci zbierał, przyprowadzał do ochrony, a Siostry Miłosierdzia jak anioły opiekowały się dziećmi.

Mały Staś długo i długo wpatrywał się w ten obrazek, a potem mówił do przyjaciela:

— I ja muszę biedne dzieci wziąć w swoją opiekę, nie mogę myśleć o tem, ażeby dzieci były jak sieroty opuszczone.

* * *

W kilkanaście lat później, w Warszawie, na Św. Stanisława, do mieszkania Jachowicza ktoś zapukał.

Otworzył drzwi gospodarz młody, a tu sunie kilkunastu szewczyków — każdy z bukietem w ręku. Najstarszy szewczyk staje przed Jachowiczem, wygłasza piękne powinszowanie i rzecze: — My szewczyki warszawskie dziękujemy jak umiemy za opiekę nad nami.

Ze łzami radości patrzył Stanisław Jachowicz na chłopaków, których zbierał wieczorami na naukę. Był to początek opieki nad ubogimi dziećmi.

Później dokonał Jachowicz wielkiego dzieła. Założył pierwszą ochronę dla ubogich dzieci. Służnie nazywano go opiekunem sierot, bo życie prawie całe oddał dla dziatwy.



Karasik.

Warszawa w roku 1809 była w ręku Austryaków. Wojsko polskie stało za Wisłą.

Stał także za Wisłą cały jeden pułk żołnierzy polskich, uformowany z rybaków i przewoźników. Dzielni ci Polacy z całą życzliwością spieszyli do walki, bo zachęcał ich do tego rybak Orłowski.

— Kiedy trzeba bronić się, to wszyscy do obrony spieszmy, mówił rybak Orłowski, a choć nie umiemy musztry żołnierskiej, nauczymy się przy pilnem ćwiczeniu.

Ksiązę Józef Poniatowski, gdy obaczył ów pułk ochotników prowadzonych przez Orłowskiego, powitał rybaków życzliwie, kazał ćwiczyć wytrwale, a potem Orłowskiego mianował kapitanem.

Stoją więc nasi za Wisłą, a w Warszawie jest komendant gwardyi narodowej, z którym trzeba się porozumiewać.

Lecz jakże się porozumiewać, gdy Austriacy do Warszawy nie puszczą.

— Co tu robić?... Kto się do Warszawy potrafi dostać? Kto doręczy pismo Panu Krasińskiemu w Warszawie?...

— Wisła szeroka i głęboka, austriackie straże stoją na brzegu, ptak chyba doleci...

Gdy tak radzą Polacy, zbliża się do Orłowskiego ubogi, nędzny chłopczyzna.

— Panie kapitanie, ja przepłynę przez Wisłę. Spojrzał Orłowski zdumiony i pyta:

-- Spisz chyba, gdy to mówisz.

— Nie spię, a Wisłę przepłynę. Proszę dać pismo — doręcę tam, gdzie należy.

— Utoniesz i skończy się twoja wyprawa. Nigdy w to nie uwierzę, ażebyś mógł Wisłę przepłynąć. Na to trzeba silnych i zdrowych, a ty wyglądasz mizernie i widać chorowity jesteś.

Wystąpił jeden z przewoźników i tłumaczy:

— Ja go przyprowadziłem umyślnie, bo wiem, iż on jak ryba pływa. Nazywają go nawet „*Karasik*“ dlatego, iż pływa jak karaś.

Poszedł Orłowski do komendanta Hornowskiego i opowiedział o Karasiku. Rada w radę, więc i przynieśli Karasikowi list napisany na cieniuteńkim papierze. List ten włożono do maleńkiej flaszeczki, zakorkowanej i zapieczętowanej.

— Kiedyś taki zuch Karasiku, to pływ!...

Chłopczyzna flaszeczkę na piersiach na sznurku zawiesił, wybrał się niby to z dzbankiem po wodę do Wisły i chlup w wodę.

Nasi stali na brzegu i z niepokojem patrzyli na tego pływaka. Austriacy zaś, gdy od strony



— Panie kapitanie, ja przepłynę przez Wisłę.

Warszawy go spostrzegli, zaczęli strzelać do niego. Lecz Karasik dał nurka i znikł w głębi fal.

— Utonął! utonął!... wołają nasi... — szkoda Karasika...

— Zastrzelili go!... już przepadł...

— Nie liczyłem na jego siły, rzeknie Orłowski, za wąły, by taką drogę przepłynął...

— Patrzcie! patrzcie! Karasik tam... na lewo... widzicie?...

Spojrzeli wszyscy, nie wierzą sami sobie. Oto istotnie Karasik już jest przy tamtym brzegu, znów dał nurka, nie widać go...

Na drugi dzień rano, Karasik staje przed komendantem Hornowskim, zdejmuje flaszeczkę z piersi, w niej odpowiedź od pana Krasińskiego.

I tak nie jeden raz jeszcze dzielny chłopczyna przez Wisłę przepływał, prznosił listy, służbę swą dla Ojczyzny pełnił gorliwie.

A za to później, gdy Austriacy z Warszawy odeszli, dano Orłowskiemu i Karasikowi srebrne krzyże zasługi. Zaś pan Krasiński tyle dał dukatów dzielnemu chłopczynie ile razy on przez Wisłę przepływał. Dukaty te oddał Karasik w ręce komendanta na broń.

Tak mały i wąły chłopczyna z nad Wisły służył Ojczyźnie pocziwie.



Chłopiec złotousty.

Jak wonne kwiaty, w tym Bożym ogrodzie
Rozsadził Pan Bóg swe święte w narodzie,
By wonią ducha i wonią żywota
Mocno podparta kwitła polska enota.

Pol.

Nad rzeką, płynącą niebieską wstęgą po pod sad zielony, stał duży dwór modrzewiowy. Miał on okna duże, malowane, ganek szeroki, o sześciu słupach i dużo komnat dostatnio urządzonych.

We dworze tym mieszkał szlachcic zamożny.

Pewnego poranku siedziało na ganku we dworze dwóch mężów: jeden staruszek siwy i pochylony, drugi mężczyzna czerwony i silny, mający lat około 40.

Obok nich stał zadumany chłopczyzna 12-letni, poglądając w dal, jakby myśli jego rwały się w przyszłość nieznaną. W tem przyszło dwóch wieśniaków ze skargą do pana.

— Proszę o rozsądzenie, czyja krzywda — mówił jeden kłaniając się panu do kolan. — Tak mi już brat dokuczył, że dłużej zcierpieć nie mogę.

— To mnie — zawołał drugi, to mnie się krzywda dzieje; ja przychodzę prosić o sąd i sprawiedliwość.

— Ależ na Boga! — zawołał ze smutkiem pan Pawężki — ledwo dni parę minęło od czasu, jak przyrzekliście zgodę u księdza plebana, a dziś już znowu kłótnia między wami?...

— Ja temu nie winien, mówił jeden, on daje powody do niezgody, on dokucza, on krzywdzi...

— Nie proszę pana, żałośnym głosem dodaje drugi, to on winien.

I tak żalił się jeden na drugiego, jeden drugiego oskarżał, aż gwar powstawał coraz większy, a ludzie, idący drogą stawali zgorszeni kiwając głowami.

Tymczasem skargi sypały się coraz częściej jak grad z pod czarnej chmury, a mały chłopczyzna, stojący na ganku, patrzył na to ciekawie i nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Wtedy powstał staruszek, ojciec pana Pawężkiego i rzekł do powaśnionych:

— Czy wy już nigdy do zgody nie doprowadzicie? Czy wam nie wstyd żyć między sobą nie jak bracia, ale jak najzaciętsi wrogowie... Dajcie raz pokój tym kłótniom, nie obrażajcie Boga, nie smućcie nas i sąsiadów, a żyjcie jak należy w zgodzie i miłości!

Lecz kłócający się bracia nie zważali na upomnienie starca i spierali się coraz bardziej — tak, iż przykro było patrzeć na nich i słuchać ich kłótni. To też świadkowie tego zajścia odwracali się ze wstrętem od powaśnionych braci i porównywali ich do dwóch kogutów, skaczących do siebie. Widząc to pan Pawężki, zawołał:

— Oto przykład, co robi złość z człowieka i do czego kłótnia prowadzi!

Przez cały czas tej sceny mały Piotruś stał jak skamieniały — patrzył — słuchał, a oczy jego dziwnym blaskiem pałały.

Gdy wreszcie gromada odwiodła złośników od ganku i cisza nastąpiła, mały Piotruś obrócił się ku ojcu i spytał:

— Ojcie! co to było?

— Ot widzisz, rzekł pan Pawęzki, kłótnia między braćmi!

— Czy to taka słabość?

— Nie, to jest nieszczęście — odpowiada dziadek.

Chłopak stał znowu chwilę w zamyśleniu, lecz widocznie nie mógł jeszcze pojąć co to znaczy, bo zapytał:

— Co to jest nieszczęście?

— Jest to dopust Boży, który Najwyższy sędzia zsyła czasem jako karę dla przestrogi, by się ludzie wystrzegali grzechu, nieraz znowu ludzie sami są przyczyną swego nieszczęścia, jak właśnie ci dwaj bracia, których tu widziałeś.

Tymczasem pan Pawęzki odszedł do gospodarstwa, a dziadek, widząc zadumę chłopaka, tak dalej mówił:

— Ci dwaj kłócą się już lat 20. Stracili cały dobytek, z bogatych rolników stali się ubogimi, gromada z nich się śmieje, lecz to nie pomaga. Wiele już razy przyrzekali zgodę, lecz nigdy nie dotrzymani obietnicy. I dziś odeszli nie pogodzeni i jutro znów się waśnić będą, a wszelkie nauki zgoła im nie pomagają, trzeba by chyba człowieka złotoustego, żeby swą wymową potrafił na nich wpłynąć, bo nasze 20-letnie upomnienia wcale nie skutują.

Słyszając to Piotruś, podparł główkę dłonią, zapatrzył się kędyś daleko i po chwili zawołał:

— Muszę ich pogodzić!

* * *

Od tej pory mały Piotruś często wychodził na wieś i długo gdzieś przesiadywał. Ani ojciec, ani dziadek nie wiedzieli dokąd chłopiec chodzi; ale ludzie we wsi zauważyli, że Piotruś odwiedza naprzemian obu kłócących się braci, że wysiaduje u nich godzinami i wiele z nimi rozmawia.

Jego słowa, jego cudne przemówienia, pełne prawdy chrześcijańskiej tak działały na serca kłócących się braci, iż zda się, rozmiękła ich twar- dość pod wpływem nauk Piotrusia, jak lód pod wpły- wem złocistych promieni słońca.

Raz usiadł chłopczyna na pniu drzewa przy chacie starszego Budy i tak gorąco przemówił mu do serca, że rozrzewniony wieśniak zbliżył się do dziecka i począł płakać rzewnemi łzami... Na to nad- jechał niespodziewanie ksiądz pleban, a ujrawszy Budę płaczącego, zdziwił się wielce i zapytał, co to znaczy?

— Ach!... jegomościu, odrzekł Buda, panicz mi tak przedstawił skutki niezgody, a piękno miłości braterskiej, że mnie całego wzruszył do głębi. Pra- wdziwie żal wielki czuję, iż dotąd błądziłem lat tyle.

— Więc ty Piotrusiu tak umiesz godzić po- ważnionych? — pyta ksiądz pleban chłopczyka...

Piotruś zarumienił się i szepnął:

— Chciałbym, aby ludzie na świecie nic złego nie robili... i żyli zawsze w zgodzie.

Zdumiał się ksiądz pleban, pobłogosławił chłopaka i odjechał, a stary Buda postanowił już raz na zawsze wszelkiej niezgody zaniechać.

* * *

W parę dni później przyszedł młodszy Buda do dworu i tak powiada do pana Pawężkiego:

— Panie nasz kochany — wasze chłopię ma jakieś złote usta. Jak mi począł prawić o miłości bliźniego, o zgodzie... tak mi serce rozczulił, że choćby mi brat niewiem jak dokuczył, już się gniewać nie będę.

I istotnie, za staraniem młodego chłopczyny, a ku wielkiemu zdziwieniu całej gromady dwaj bracia się pogodzili, zamieszkali nawet w jednej chacie razem, wspólnie pracowali i byli od tej chwili wzorem miłości dla innych.

O małym zaś Piotrusiu rozeszła się wieść daleko. Nazwano go złotoustym i słusznie, bo dzieckiem jeszcze będąc, najzatatwardzialsze serca poruszał i pociągał ku sobie.

Działo się to w r. 1548.

Od tej pory wiele lat upłynęło.

Mały Piotruś wyrósł na mężczyznę i został księdzem. Stał się rychło sławnym kaznodzieją, a król Zygmunt III. powołał go na dwór królewski.

Ksiądz Piotr Skarga Pawężki stawał na kazalnicy, jako żyjąca skarga wszelkiego złego, a złote

usta kapłana wywierały taki wpływ na naród cały, jak swojego czasu na zwaśnionych braci.

Umarł ksiądz Skarga w Krakowie w roku 1612. Ciało jego złożono w kościele św. Piotra i Pawła i tu stoi posąg z marmuru wykuty, który przypomina dzieciom Polski, iż gdyby dawniej słuchano nauk złotoustego kapłana — nie byłoby trzech rozbiorów ani tej niedoli, jakiej lud Piasta doznaje od wieku.



SPIS RZECZY.

Daj wolność mym braciom	3
Sprawiedliwy sędzia	7
Będziesz służył Ojczyźnie	13
Grudka ziemi	16
Odważny kleryk	19
Wielki skarb	23
Polskie wojsko	28
Polska książka	31
Opiekun sierot	35
Karasik	37
Chłopiec złotousty	41

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 330435



000-330435-00-0

Najnowsze tomiki

w „Biblioteczce Jadwigi z Łobzowa“:

Polacy, śliczna historia Polski z wieloma obrazkami, stron 200.

Za górami za lasami, legendy z obrazkami.

Szczęśliwy królewicz, opowiadanie dziejowe o Władysławie IV.

Nieskończony bój, obrazek sceniczny.

Złote nici, legendy i baśnie.

Kraków, Aleja Słowackiego L. 7.

